

Marcin Aślanowicz

JESZCZE O WYBORACH

My, młodzi ludzie, plakatując pomagaliśmy różnym partiom politycznym w walce wyborczej. Część z nas robiła to dla idei, część dla zarobku. Uważam, że warto by się zastanowić, czy ci, którzy zrobili gruby interes na rozpowszechnianiu materiałów partii, z którymi całkowicie się nie zgadzają, nie przyczynili się do tak niekorzystnych dla Polski wyników. I czy pozostali w zgodzie z własnymi przekonaniami. Przy okazji, ciekaw jestem, czy mężczyźni pomagali w kampanii „Sojuszu Kobiet przeciw Trudnościom Życia”. I co nimi kierowało, gdy angażowali się właśnie po tej stronie?

Wybory minęły. „Nasz” prezydent być może zostanie „naszym” premierem. Interesujące, czy „Solidarni z Prezydentem” — jednomandatowe ugrupowanie w Sejmie zmieni swą nazwę. A jeśli, to na jaką?

W parlamencie zasiadają przedstawiciele około 30 partii i ugrupowań. Parę tuzinów innych stronnictw w ogóle nie weszło do Sejmu. Sytuacja wydaje się w swej istocie tragicomiczna. O ile rozumiem rywalizację pomiędzy Unią Demokratyczną a Porozumieniem Obywatelskim Centrum, to pomiędzy czterema partiami zielonych bądź dwiema partiami Wielkopolan już zupełnie nie.

I jeszcze retoryczne pytanie. Czy politycy optujący za proporcjonalną ordynacją zdają sobie sprawę, że większość narodu z tego wszystkiego NIC NIE ROZUMIE?

30 października 1991 r.

Mirostawa Grabowska

Panu Marcinowi Aślanowiczowi w odpowiedzi

Jedni zajmują się handlem bananami, inni — rozważają mielizny i pułapki demokracji, Pan Marcin Aślanowicz należy do tych drugich. Podejmując refleksje nad wyborami do parlamentu niecierpliwie i gorzko pyta, czy politycy zdają sobie sprawę z tego, że „większość narodu z tego wszystkiego nic nie rozumie”.

Czy politycy zdają sobie sprawę — nie wiem. Ale z pewnością mogliby wiedzieć — badania socjologiczne od dawna informowały o tym, że wiedza o budowanym demokratycznym systemie politycznym jest niewielka, że niewiele osób zna „aktorów” nowej politycznej sceny, a wiele im nie ufa. Dramatycznym wyrazem tego niezrozumienia i tej nieufności, przemieszanych zapewne z poczuciem beznadziei, była niska frekwencja — 43 proc. — w pierwszych, wolnych i demokratycznych wyborach do polskiego parlamentu.

Tworzymy — celowo używam tu liczby mnogiej, bo pan Marcin plakatując; a ja doradzając mamy w tym tworzeniu nasz skromny udział — **system demokratyczny po ponad pół wieku przetrwy**. Z okresu II Rzeczypospolitej nie przetrwała żadna demokratyczna instytucja — nie przetrwała nawet, w skali masowej, żywa pamięć o tym, na czym

polega demokracja. Zaczynamy od początku, ale nie na „gołej ziemi”. Dodałabym — niestety nie na „gołej ziemi”. Musimy borykać się z wieloma uprzedzeniami, przesadami, także iluzjami.

Pan Marcin Aślanowicz najwyraźniej oczekiwał, że kampania wyborcza będzie „czystą”, dżentelmeńską rywalizacją, w której zwyciężą najlepsi. Tymczasem znaleźli się tacy, którzy na kampanii „zbili gruby interes”, a wyniki okazały się dla Polski niekorzystne.

Zacznijmy od **pieniędzy**. Kiedy w 1846 r. Abraham Lincoln ubiegał się o miejsce w Kongresie, kosztowało go to 75 centów: „Kampanię wyborczą odbyłem na własnym koniu; moje wystąpienia, odbywając się w domach przyjaciół, nic mnie nie kosztowały, jedyny mój wydatek to 75 centów na baryłkę cydru [wina z jabłek — MG], ponieważ pewni robotnicy rolni uparli się, że muszę ich poczęstować”. Ale czasy, gdy za 75 centów można było zdobyć miejsce w parlamencie, dawno minęły. Partie — główne podmioty polityczne współczesności — by istnieć, funkcjonować, prowadzić kampanie i wygrywać wybory potrzebują pieniędzy. Potrzebują pieniędzy między innymi na plakaty i opłacenie tych, którzy je rozlepiają. Skąd mają je brać? Ze

składek członkowskich? Istniejące obecnie w Polsce partie są za małe — większość z nich liczy nie więcej niż parę tysięcy członków — by mogły utrzymać swoją machinę organizacyjną i sfinansować własną działalność. Od prywatnych donatorów? Jest to jakieś rozwiązanie w społeczeństwach bardzo zaможnych, ale nie u nas. W dodatku zdanie się na prywatnych donatorów może stwarzać niewygodne sytuacje ograniczające swobodę działania partii. Z własnej działalności gospodarczej? To wszystko za mało. Taka sytuacja spycha partie ku granicy prawa lub wręcz poza tą granicę. Nie myślę o Polsce — przykładem niech będzie Francja, gdzie w styczniu w siedzibie socjalistów prokuratura przeprowadziła wielogodzinną rewizję wynosząc pudła dokumentów, które mają jakoby świadczyć o korupcji i nadużyciach tej partii. Poprosiłam swojego francuskiego przyjaciela o komentarz do tych wydarzeń, a on żartobliwie wyjaśnił mi, że we Francji wszystkie środowiska polityczne są skorumpowane, bo przecież muszą skądś mieć pieniądze. Może się to wydać cyniczne. Ale prawdopodobnie właśnie dlatego, by uniknąć zagrożenia powszechnym skorumpowaniem, w RFN częściowo finansuje się partie z funduszy publicznych: otrzymują one dotacje w formie zwrotu kosztów kampanii wyborczych proporcjonalnie do liczby uzyskanych głosów. W USA od 1974 r. obowiązuje ustawa regulująca finansowanie kampanii, a w 1976 r. obaj kandydaci na prezydenta — J. Carter i G. Ford — otrzymali równe dofinansowanie z funduszy federalnych; na prywatnych donatorów nałożono natomiast warunek, że mogą dać swojemu kandydatowi tylko 1000 dolarów. Ma to sens — przyszły prezydent będzie się czuł mniej zobligowany do wdzięczności niż gdyby dostał np. 300000 dolarów! Partie na różne sposoby starają się obejść te ograniczenia i w jakiejś mierze udaje im się to. Prawdopodobnie publiczna kontrola nad finansowaniem polityki nigdy nie będzie w pełni efektywna. Ale jest obecna wszędzie, gdzie funkcjonują demokratyczne reguły. Tak więc jedni bronią aktorów na scenie politycznej przed zalewem pieniędzy, inni troszczą się o ich należyte wyposażenie. Ale jedno jest pewne: jeśli się partyjnych głosów nie kontroluje i na wyborczą aktywność nie łoży, to prowadzić to może tylko w jednym kierunku — ku korupcji.

Już słyszę oburzone kontrargumenty, że w sytuacji załamania budżetowego proponuję finansować partie! Nie proponuję. Ja tylko twierdzę, że i z tym my na nadużycia.